

# informer

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

ISSN 1505-8476



nr 243  
czerwiec 2009



## ENTLICZEK-PĘTLICZEK & ATOMOWY GUZICZEK

Filmowa opowieść o Terminatorach weszła do kanonu współczesnego kina SF równie zasłużenie, jak opowieści o gwiazdnych wojnach, Obcym, Matrixie czy Robocopie.

Jak pewnie zauważyliście – użyłem tu sformułowania ogólnego (opowieść), nie zaś szczegółowego (filmy). Poszczególne części wymienionych sag reprezentują bowiem mocno zróżnicowany poziom (co w przypadku dłuższego cyklu fabularnego jest nieuniknione), a nawet – niestety – kontynuacje zaczynają przybierać kształty będące zaprzeczeniem idei oryginałów (co zdaje się być skutkiem bezwzględnej pogoni za maksymalizacją zysków).

Okryte mrokami legendy początki imperium galaktycznego rozczarowały większość tych, którzy się na oryginalnej trylogii wychowali (mimo znakomicie poprowadzonego wątku dochodzenia Palpatine'a do władzy). Cameronowi udało się nadspodziewanie zgrabnie przenieść klimat klaustrofobicznej opowieści Scotta o Obcym do kina akcji – jednak części trzecia i czwarta poszły w tak specyficzne klimaty, że satysfakcjonują chyba tylko najwierniejszych fanów. Druga i trzecia część *Matrixa*, mimo paru sensownych scen (bitwa o Zion), wykazały jasno, iż bracia Wachowscy mieli tak naprawdę pomysł tylko na jeden film – udemoniżnienie agenta Smitha jest tego najwyraźniejszym obrazem. Pierwszy *Robocop* jest filmem równie okrutnym w przekazie, co humanistycznym w przesłaniu – a przy tym kawałkiem świetnego formalnie kina; dwójka waha się między kontynuacją a parodią, usilnie stara się przywrócić te utracone proporcje trójka („Murphy mówią do mnie przyjaciele. Dla ciebie – jestem Robocop!“). Nas jednak dziś szczególnie interesuje saga o Terminatorach.

Pamiętam pierwszą część, obejrzaną zaledwie parę lat po światowej premierze (co w „bezdewizowych” realiach PRL-u było normą). Zwykle drażniły mnie filmy SF, w których np. najeżdżcy z kosmosu gremialnie przybierali ludzką postać. Obok swoistego przesłania („nie ufaj nikomu”) – odbierałem to jako ukrywanie niedoborów techniczno-finansowych i oszukiwanie widza (przez dekady kino science fiction produkowało głównie niskobudżetowe gnioty, do których nie przyznałby się żaden pisarz SF). Ale film Camerona, choć nakręcony za jakieś śmieszne (na warunki Hollywood) pieniądze, miał autentyczny klimat. Czulo się w nim coś szczerego i niepokojącego. Wielką była w tym zasługa odtwórcy tytułowej postaci – który ponoć pierwotnie miał zagrać Kylie'a, ale uparł się na rolę „elektronicznego mordercy”.

Pętla czasu zamknęła się w finale filmu tak idealnie, że wieść o planach nakręcenia kontynuacji zaskoczyła mnie i zaniepokoiła. Jednak drugi *Terminator* – chociaż w momencie powstawania był najdroższym i najbardziej napakowanym efektami specjalnymi filmem w historii X Muzy – nie rozczarował. Wręcz przeciwnie! I do dziś pozostaje jednym z najlepszych filmów akcji w dziejach kina. Chociaż w stosunku do pierwowzoru wykonał karkołomną wolte fabularną: ukazał przyszłość nie jako coś, co już się bezwzględnie dokonało – lecz jako jedną z wielu potencjalnych ścieżek czasu, na które możemy mieć jeszcze wpływ. Przełamał tym samym przygniatający pesymizm poprzedniego obrazu (pozostając jednocześnie ostatnim filmem mówiącym serio o groźbie wojny atomowej).

Trójka wydawała się bezsensowna do szęścianu: skąd tym razem miałyby przyjść zagrożenie – i kogo można dziś przestraszyć groźbą użycia jądrowych arsenałów. Film ten – mimo przywrócenia pesymizmu pierwowzoru, osadzenia w realiach powszechności internetu oraz arcywidowskiej sceny pościgu ulicznego – nie dorównał poprzednim częściom. I zapętlił czas świata opowieści na całego (odrywając go od naszego czasu już całkiem).

Efekt ten wzmógł jeszcze bardziej późniejszy serial telewizyjny *Kroniki Sary Connor*.

Nestor literatury iberoamerykańskiej, Jorge Luis Borges, pisał o „ogrodzie o rozwidlających się ścieżkach”. Tu czas zaczyna przypominać raczej splątany węzeł żeglarski!

Poza tym – śmiem wątpić, czy konkretyzacja w czwartym *Terminatorze* wojny z maszynami wyszła całej wizji na dobre. Chyba migawki z filmów Camerona robiły większe wrażenie. Cóż: z dramatycznej opowieści zrobiło nam się powoli gadzeciarskie widowisko...

# Żółtodziób Nidzicki 2009

**Dzień pierwszy.** Nigdy w życiu nie byłam w Nidzicy, zatem jadąc na XVI Festiwal Fantastyki wydrukowałam sobie z Internetu mapkę dojścia do zamku, który jest miejscem odbywania się imprezy. Nie było to jednak konieczne – już na dworcu wpadłam na grupkę mniej i bardziej znajomych osób zmierzających w tym samym kierunku. Dzięki nim od razu poznałam lokalizację kilku pożytecznych sklepów w najbliższej okolicy. Po zgłoszeniu się do recepcji otrzymałam folderek z programem oraz żółciutki znaczek, będący pomysłowym połączeniem konwentowego logo i identyfikatora, zaś sam jego kolor określał festiwalowy staż nosiciela. Mój oznaczał żółtodzioba, osobę odwiedzającą imprezę co najwyżej trzeci raz.

Pierwsze kroki skierowałam do księgarni. Festiwalowy informator polecał ją jako miejsce, gdzie można trafić nie tylko na nowości, ale też starsze pozycje, już nieobecne na księgarskich półkach. Rzeczywiście, udało mi się upolować kilka książek, o których nawet strona internetowa Solarisu stwierdzała „nakład wyczerpany”. Uprzejmi sprzedawcy wydzielali indywidualne kącki na półce, gdzie można było przez cały czas trwania imprezy gromadzić zdobycze, by rozliczyć się w niedzielę. W księgarni odbywały się także „polecanki”, podczas których znani festiwalowicze zwracali uwagę obecnych na wybrane pozycje. Przyznaję, że omijałam je szerokim łukiem, w przeciwnym bowiem razie ilość zakupionych łącznie podczas czterech dni pozycji zmusiłaby mnie do powrotu pociągiem towarowym.

Festiwalowe życie toczyło się w zamku, gdzie poza księgarnią mieściły się: sala prelekcyjna (trzeba się było wspinać do niej po krętych i wysokich schodach, co wpłynęło korzystnie na mięśnie moich nóg) i sala rycerska przeznaczona na pokazy filmów (niestety żadnego nie widziałam, choć na plakatach niektóre tytuły brzmiały intrygująco, np. „Przenicowy świat” – czyżby chodziło o świat z nieortograficzną pszenicą?) oraz punkty programu gromadzące największą ilość uczestników. Na dziedzińcu można było przysiąść na piwo i pogaduszki, oczywiście jeśli nie padało zbyt mocno. Pogoda to jedyne, co nie dopisało. Było zimno, wietrznie, codziennie z wyjątkiem niedzieli padał deszcz. Organizatorom udało się wywalczyć polepszenie pogody jedynie na piątkowy wieczór oraz na moment odjazdu.

Program prelekcji rozpoczął we czwartek Jacek Komuda, dzieląc się wynikami researchu prowadzonego do najnowszej powieści „Samozwaniec”. Tematyka rosyjska jest mi bliska, zatem z wielkim zainteresowaniem słuchałam o mało znanych epizodach z życia Dymitra Samozwańca i Maryny Mniszchówny. Wśród publiczności znaleźli się pasjonaci historii wojskowości, zatem wywiązała się rozmowa o różnicach między kopią a pika, o tym, kiedy i jakich skrzydeł używała husaria oraz jakich manewrów mogła dokonywać. Następnie Jarek Grzędowicz mówił o regułach tworzenia światów fantastycznych, tych klasycznych, tolkienowskich (z nieodzowną mapką, nazewnictwem nawiązującym do istniejących języków oraz obowiązkowym questem odbywanym przez bohatera) oraz o zmianach, jakie w tym zakresie przyniósł tzw. New Weird, rezygnujący z owego questu na rzecz konstruowania światów bardziej statycznych, opartych o zdobycze techniki i magię pełniącą podobną do techniki funkcję. Oczywiście nie mogło zabraknąć pytania o termin ukazania się trzeciego tomu





„Pana Lodowego Ogrodu”, ale tu niestety Jarek nie był w stanie nic obiecać, gdyż sprawa leży w gestii wydawnictwa, które powoli realizuje sporą kolejkę powieści czekających na publikację. Trzecim punktem programu był panel dyskusyjny pisarzy pod hasłem „Historie niebyłe”, rozpoczęty przez prowadzącego Wojtka Sedeńko zaprezentowaniem sporego stosiku powieści o historii alternatywnej. Niestety zebrani pisarze zaprotestowali i zmodyfikowali temat do „Historii odbrazowanej”, jako że wszyscy piszą nie tyle o linii historycznej, która się nie wydarzyła, co o zdarzeniach, które mogły mieć miejsce w naszej historycznej rzeczywistości. Robert Foryś, Jacek Komuda oraz Wittek Jabłoński, który w ostatniej chwili dołączył do ekipy, mówili o swoich utworach, pokazujących przeszłość Polski bez retuszu poprawnościowego, bez wybielania i idealizowania bohaterów. Jako że Jacek i Robert mieli też indywidualne spotkania na podobny temat, poświęcę większą uwagę wypowiedzi Witka Jabłońskiego (który niestety wpadł do Nidzicy tylko na chwilę). Otóż kolejna jego powieść będzie ukazywać Mazowsze w okresie poprzedzającym przyjęcie chrześcijaństwa i opowie, co naprawdę kryło się pod lakonicznym zapisem kronikarskim o nawróceniu na nową wiarę. Będzie naturalnie mowa o pogańskiej mitologii Słowian, co mnie bardzo cieszy, gdyż tematyka ta pojawia się ostatnio często na konwentach i coraz bardziej mnie fascynuje.

Tu muszę przyznać się uczciwie, że następujące po bloku prelekcyjnym otwarcie festiwalu opuściłam. Trzeba było rozprostować kości i odświeżyć się napojami musującymi, w czym nie byłam odosobniona. Spora część uczestników dotarła zresztą do Nidzicy dopiero po południu. Ostatnim tego dnia punktem programu było ognisko w Kalborni, gdzie mieszkała większość festiwalowców. Co prawda uparty deszcz wciąż próbował padać, ale uzyskał tylko to, że naciągnęliśmy na siebie, kto co miał i schroniliśmy się pod zadaszenie. Ognisko płonęło jasno pomimo przeciwności i kiełbaski piekły się bez przeszkód. Pożywili się wszyscy, łącznie z hotelową kotką, karmioną przez Ewę Białołęcką i inne kocie miłośniczki. Fantaści słyną zresztą z kociolubności i mam nadzieję, że szara pręgowana kocia dama nie została przez nas zbyt utuczona. Potem były tańce i inne hulanki. Ja udałam się na spoczynek dość wcześnie, oszczędzając włączyć siły na później.



**Dzień drugi.** Piątkowy poranek poświęciłam na obchód ośrodka, odkrywając stajnię (ale chyba bez koni), jezioro z wydzielonym kąpieliskiem oraz przystań z łodziami, kajakami, a nawet żaglówkami. Ech, gdyby nie ta pogoda... W przechadzce towarzyszyła mi poznana poprzedniego dnia tłumaczka powieści Diaczenków – Iwonka Czapla. Na szczęście nie zamierzała utopić mnie w jeziorze z wdzięczności za krytykę, zafundowaną jej w jednej z moich recenzji. Co więcej, okazało się, że bardzo podobnie odbieramy twórczość tego pisarskiego małżeństwa i równie mocno czekamy na ich przyszłoroczną wizytę w Nidzicy. Hotelowe śniadanie było majstersztykiem – gdybym żywiła się tak dłużej, wyhodowałabym brzuch nie gorsze niż Kazik Kielarski... Do tego, ku uldze co aktywniejszych uczestników wczorajszego ogniska, pojawiło się stoisko z piwem. Półka w lodówce, z której recepcjonistki sprzedawały piwo poprzedniego wieczora, była już bowiem puściuteńka...

Przed południem zaliczyłam jedną prelekcję – młody pisarz Robert Forys bardzo obrazowo opowiadał o polskich polowaniach na czarownice, stosowanych próbach niewinności i rodzajach tortur. Przytaczał przy tym wyjątki z historycznych dokumentów, pisanych między innymi przez tych, którzy te tortury zadawali, oraz charakteryzował powody zaciekłości w tropieniu czarownic jako ekonomiczno-seksualne. Zachęcona tym, co mówił o wydanej w tym roku swojej powieści „Za garść czerwoców”, nabyłam ją i otrzymałam autograf. Nie wiem tylko, czy Forys zażartował sobie ze mnie twierdząc, że to jego pierwszy złożony w tym charakterze podpis... W południe miało miejsce najważniejsze wydarzenie imprezy – spotkanie z gościem honorowym festiwalu Robertem Silverbergiem. Księgarnia wydzieliła na dorobek Silverberga osobny stolik, a wyłożone stosiki książek malały w oczach. Hitem była najświeższa pozycja „Roma Eterna”, najczęściej nabywana też przez łowców autografów. W godzinach poprzedzających spotkanie kilka razy słyszałam wypowiedzi spieszących, by zdążyć jeszcze nabyć „Rome...” w miękkiej okładce i dzielących się informacją o jej dostępności. Zdaje się, że starczyło dla wszystkich. Spotkanie odbyło się w największej sali i zgromadziło chyba wszystkich uczestników festiwalu. Przy stoliku „prezydialnym” przeważali licznie tłumacze, jednak cały ciężar obsługi translatorskiej leżał na barki jednej dziewczyny, która poradziła sobie znakomicie. Państwo Silverberg zdawali się spokojni i wyciszeni, nawykli do podróży i tłumy fanów. Jak zazwyczaj w podobnych przypadkach, nie padła żadna sensacyjna wypowiedź, pisarz po prostu opowiadał o swoim życiu i karierze. Mógłby zresztą chyba nawet liczyć do dziesięciu, a i tak wszyscy nie spuszczały z niego oczu i chłonęły słowa. Liczy się przecież samo obcowanie z Wielkim Człowiekiem. Istotną informacją było chyba tylko to, że Silverberg nie napisze już żadnej powieści, pozostając przy mniej męczących opowiadaniach. Podczas spotkania ogłoszono niespodziewaną przerwę, zapewne by goście zjedli lunch, a po niej zjawilo się już o wiele mniej widzów, co zostało przez Silverberga żartobliwie skomentowane, iż pozostali tylko poważni ludzie. Gdy wyczerpały się zadawane z sali pytania, ustawiła się kolejka po autografy, choć wcześniej pisarz przez długi czas podpisywał swoje utwory w księgarni. Co bardziej dociekliwi dokopali się w wydanej przez Solaris antologii opowiadania autorstwa żony pisarza Karen, zatem i do niej tłoczyli się amatorzy autografów.



Popołudniowy blok prelekcji składał się z trzech pozycji. Maja Lidia Kossakowska opowiadała o fantastycznych istotach nazywanych Faerie, popularnych zwłaszcza w Szkocji i Irlandii. To ogromna i różnorodna grupa stworzeń kapryśnych, złośliwych i chimerycznych, a równocześnie na tyle potężnych, że lepiej żyć z nimi dobrze, nie narażać się, a przeciwnie, starać się im dogodzić, choćby zostawiając miseczkę mleka i gotowanej fasoli na progu. Zastanowiło mnie, skąd Maja tyle wie o Faerie, ale z drugiej strony opisała pewien ich rodzaj jako rudowłose, odziane w zieleń i o wiecznie zaczerwienionych oczach (dla wyjaśnienia - Maja ma rude włosy, nosiła zielony sweterek, oraz jest alergiczką i przez większość spotkania walczyła z dolegliwościami). Kolejną godzinę zajął panel wydawców, a konkretnie wydawnictw SuperNowa, Powergraph i Solaris. Mówiono o hurtowniach, płatnościach, wrednej robocie Empiku, upadku czytelnictwa, kryzysie i czekających nas podwyżkach cen książek. Zaproszony do stołu gość z Czech Tomas Jirkovsky potwierdził podobną sytuację u naszych południowych sąsiadów, dodając, że ceny książek w Czechach są już teraz znacznie

wyższe niż w Polsce. Przy okazji wyjaśniło się, czemu od paru miesięcy nie mogę kupić w Empiku żadnych nowości – po prostu od maja nie mają ich w sprzedaży. Następnie Ewa Białołęcka pokazała nam jeszcze inny – poza witrażami i biżuterią, z których jest szeroko znana na konwentach – dowód swoich fenomenalnych uzdolnień manualnych (choć gdy jej to powiedziałam, zanegowała „fenomenalne”). Otóż zademonstrowała w bardzo szczegółowy sposób proces oprawiania książki. Każdemu z nas zdarzyło się chyba, że czytany egzemplarz rozpadł się na luźne kartki, bywa też, że okładki nie uznajemy za wybitne dzieło sztuki. Kierując się wskazówkami Ewy można samodzielnie oprawić tomik, dodając ozdoby według własnego upodobania, w dodatku za naprawdę małe pieniądze. Można też zaszaleć, urzeczywistniając na przykład wizję drapieżnej książki Harry Pottera lub projektując książkę w kształcie trumny.



Późniejszym popołudniem odbył się wernisaż wystawy Tomka Marońskiego. Obrazy były eksponowane w sali prelekcyjnej, zatem przez cały czas festiwalu można było oglądać je do woli. Zresztą każdy czeltnik wydawnictw Solarisu zna je doskonale – obrazy Tomka zdobią okładki powieści Aldissa, Silverberga czy Diaczenków. W niedzielę na większości można było dostrzec karteczki z napisem „sprzedane”, na niektórych nawet po dwie. Ech te cuda techniki... Wieczorna integracja wyjątkowo miała miejsce na zamku, a jej program był bogaty. Przed zmierzchem dziedziniec opanowali przebierańcy, licząc na przychylnie spojrzenie tajnego jury. Kosmonauta w białym kombinezonie chciał się podliznąć organizatorom ozdabiając strój wizerunkiem firmowej solarisowej krowy, po okolicy grasowały uzbrojone w miecze elfki (elfijki?, elfice?) i samuraj z wielkim łukiem, a na wybrukowanym dziedzińcu płaśła hinduska tancerka. Nic to, że samuraj po zdjęciu wierzchniej części stroju przypominał księdza, Hinduska była obuta w trampki, a elfie uszy trzymały się na słowo honoru. Obawiałam się nawet, że wieczorem resztki uszu będą się walać po kątach niczym szczątki Cthulhu na ostatnim Nordconie, ale obeszło się – stroje zdjęto na czas, by swobodnie poszaleć podczas koncertu. A koncert był po prostu fenomenalny – zaproszony zespół „Ethnoholic” z Wrocławia z ogromnym temperamentem wykonywał utwory ludowe z różnych krajów europejskich z przewagą pieśni

cygańskich i tematyki miłosnej. Wzmocnieni pysznymi grillowanymi kiełbaskami, boczkiem i karkówką, świeżym chlebem ze smalcem oraz oczywiście piwem, festiwalowicze wtórowali piosenkarkom w bliżej nieznanym językach, śpiewali o braku piwa (???), tańczyli wężykiem i generalnie bawili się na całego, a wszędzie krążył niezmordowany Wojtek S. z kamerą. Goście honorowi co prawda nie płaśali, ale wytrwale degustowali wytwory polskiego przemysłu monopolowego, chwając sobie na przykład miód pitny. Wzbogaciłam ich bazę danych częstując Karen kupioną w pobliskim monopolowym nalewką z rokitnika miejscowego wyrobu, przy czym jakimś cudem starczyło mi angielskiego do wyjaśnienia co to takiego. Zabawa została przerwana bezlitosnym komunikatem o bliskim odjeździe ostatniego autobusu (mieliśmy tylko dwa do dyspozycji), zatem przyszło się zbierać. Jazda okazała się ostatnim punktem programu artystycznego, gdyż przez większość drogi słuchaliśmy improwizowanego konkursu na nowe zwrotki do słynnej piosenki „Morskie opowieści”. Moim faworytem była treściwa historyjka o kierowcy, który wioził fantastów, ale dowiózł masło, zawierająca głęboką prawdę – droga do Kalborni jest tak nierówna, że łatwo można zmienić hmm... konsystencję.

**Dzień trzeci.** Pierwsza prelekcja – bliska memu sercu, gdyż nawiązująca do innego mojego hobby: lotnictwa. Andrzej Pilipiuk w bardzo ciekawy sposób przedstawił kompletnie nieznaną historię polskiego (a głównie podhalańskiego) wkładu w rozwój alternatywnych dla samolotu środków żeglugi powietrznej – lotni, sterowców i helikopterów. Gdyby nie opór carskich urzędów, odmawiających utalentowanym góralom dotacji finansowych, ilość niesamowitych wynalazków byłaby zapewne jeszcze większa. Następnie zrobiłam przerwę dla powitania właśnie przybyłych znakomitych współklubowiczów – Ani i Krzyska Papierkowskich. Krzysztof pojawił się w sam raz, by wziąć udział w nieplanowanym punkcie programu. Otóż przewidziana prelekcja Lecha Jęczmyka o wpływie „Fundacji” Asimova na współczesną Rosję nie odbyła się. Lech nie przyjechał do Nidzicy, gdyż trafił do szpitala i wszyscy bardzo się o niego martwili.

W tym czasie przeprowadzono godzinę wspomnień – najpierw Wojtek Sedeńko zadzwonił do Lecha i uzyskał pocieszającą informację o stanie jego zdrowia, a wszyscy obecni urządzili owację do telefonu, a następnie Wojtek i Marek Oramus przy wsparciu Papiera wspominali najciekawsze scenki z fandomowej kariery Jęczmyka oraz inne fandomowe historyjki, w tym oczywiście Nordconowe. Następnie Marek Oramus wygłosił prelekcję, której tytuł intrygował mnie od dawna – „Banki i bankowcy w literaturze fantastycznej”.

Skąd u pisarza fantasty zainteresowanie czymś tak trywialnym, a dla mnie dodatkowo obrzydłym z powodów zawodowych? Wyjaśnienie okazało się interesujące – na festiwalu Marek zorganizował próbę generalną odczytu, który wygłosi jesienią na zamówienie grupy bankowców. Ponieważ dotąd nie „siedział” w temacie, liczył też na poszerzające jego wiedzę sugestie widzów. Temat obejmował istniejące w fantastycznych światach przyszłości systemy monetarne, zasady wynagradzania za pracę, sposoby przepływu i wypłaty pieniędzy oraz windykacji należności. Ten wykład naprawdę pozwolił mi spojrzeć na literaturę fantastyczną z jeszcze jednej nowej strony. Marek zaś po zakończonym spotkaniu pospieszył do księgarni nabyć zarekomendowany przez kogoś z widowni „Bilion dolarów” Eschbacha. Prelekcyjny maraton trzeciego dnia zakończyło wydawnictwo SuperNowa, przedstawiając niektórych ze swoich autorów. Byli obecni (w preferowanej przez prowadzącego Mirka Kowalskiego kolejności alfabetycznej): Marek Baraniecki, Robert Foryś, Paweł Kempczyński i Marcin Przybyłek. Program wymieniał jeszcze Witka Jabłońskiego, który niestety wyjechał jeszcze pierwszego dnia festiwalu, tuż po wspomnianym przeze mnie wcześniej panelu. Jakoś ostatnio Witek zrobił się bardziej nieobecny niż obecny na konwentach, czego osobiście bardzo żałuję. Zatem – czterech „supernowych” twórców mówiło o swoim pisarstwie. Dwaj z nich najwyraźniej lepiej czują się ze słowem pisany – Baraniecki i Foryś powiedzieli po parę zdań, po czym resztę spotkania zdominowali Kempczyński i Przybyłek, prowadząc dialog na miarę swoich temperamentów. Ponieważ nie miałam dotąd okazji zapoznać się z twórczością tej dwójki, słuchałam tym uważniej. Przy tak dużej ilości pozycji na półkach księgarskich, o wyborze tomu, z którym pójdę do kasy, decyduje również wrażenie, jakie wynoszę z osobistego kontaktu z pisarzem. W tym sensie wspomniana rozmowa była wielce pouczająca.



Tego dnia gwoździem programu było wręczenie SFINKS-ów 2009, ale najpierw obejrzałam jeszcze wystawione w sali rycerskiej przedstawienie teatralne Nieformalnego Teatru Rodziny Korzunowiczów. Na wczesnym etapie przygotowań do festiwalu, gdy była jeszcze mowa o wizycie Diaczenków, wyczytałam, że owo przedstawienie miało ilustrować jeden z ich utworów. Byłam więc ciekawa, czy ten spektakl zostanie pokazany, czy zastąpi go inny. To, co zobaczyłam, nie skojarzyło mi

się z niczym konkretnym. Była to właściwie pantomima z rekwizytami, ilustrująca życie pewnego młodzieńca. Najpierw przeszkadzali mu hałasami sąsiedzi (a on rewanżował się tym samym), potem jadł kanapkę z pasztetem (a mnie ciekła ślinka, bo nie było czasu na obiad), następnie spał, podczas gdy dobro i zło walczyły o jego duszę (zło miało długą brodę wystającą spod szaty), by na koniec pomodlić się, przynieść klatkę z bardzo ospałym gołębiem, wyjść na zamkową galerię i go wypuścić. Całość pozostawiła widzów obojętnymi, a jedyna dyskusja, jaką w związku z przedstawieniem słyszałam, dotyczyła faktu, czy wypuszczony gołąb spadł na dziedziniec, czy odleciał.

No i wreszcie gala sfinksowa. Obyło się bez fanfar i długich ceremonii, szybko wręczono nagrody za dziecięcy konkurs plastyczny i konkurs strojów (oczywiście kosmonaucie z krową!), po czym odczytano dziesięć najwyższej punktowanych utworów w każdej z pięciu kategorii: najlepszego opowiadania i powieści polskich i obcych oraz najlepszej książki roku. Zwycięzcy: Diaczenkowie („Ostatni Don Kichot”), Kossakowska („Beznogi tancerz”), Watts („Ślepowiedzenie”), Kosik („Kameleon”), zaś książką roku została „Droga” MacCarthy’ego. W rezultacie tylko Maja i Rafał odebrali swoje statuetki osobiście. Szampana i kwiatów nie było. Był za to autobus, który



natychmiast zabrał nas do Kalborni na tradycyjną biesiadę, o której słyszałam, że nawet najtęższy mężczyzna nie da tam rady spróbować wszystkiego. Faktycznie, żarcia było co niemiara, bez wyjątku pięknie podane i pyszne. Zwłaszcza smakowały mi wędzone ryby. Piwo łało się obficie z kraniku z napisem „Browar Kormoran”, a komu było zbyt zimno na piwo, konsumował coś bardziej rozgrzewającego. Deszcz też nie zawiódł – znowu usiłował zalać nasze ognisko i zagonić nas pod wiaty. Jedyne, czego dokonał, to skłonił uczestników biesiady do szybszego picia, co by się alkohol deszczówką nie rozcieńczył. Potem znów nastąpiły tańce pod najróżniejsze utwory, mniej lub bardziej do tańca się nadające. Państwo Silverberg niezmordowanie konwersowali i konsumowali, czym

wywołali mój prawdziwy podziw. Dla starszego pana to mocno aktywne wakacje, tym bardziej że gdzieś „w międzyczasie” zdołał jeszcze pojechać do Malborka i zwiedzić zamek! Ja zdołałam dotrzeć prawie do pierwszej w nocy, zaliczywszy po drodze kilka ataków senności, ale muzyka i odgłosy zabawy dobiegały mnie przez sen prawie do świtu.

**Dzień czwarty**, ostatni i mocno ulgowy. Na pierwszej prelekcji, Maćka Parowskiego na temat powstającej właśnie powieści „Burza”, byłam obecna od połowy, głównie dlatego że podobnego wystąpienia wysłuchałam wiosną podczas Pyrkonu. Niecierpliwie czekam na ukazanie się książki, ponieważ ma to być kolejne podejście do historii alternatywnej II Wojny Światowej. Ostatnio ukazało się kilka powieści na ten temat i wciąż zastanawiam się, czy nie został on już do cna wyeksploatowany. Maciek najwyraźniej uważa, że nie... Ostatnim, mocnym prelekcyjnym akcentem (ponieważ na Mikołaja Wachowicza już nie zostałam) było spotkanie z Marcinem Przybyłkiem. Dotyczyło psychologii narracyjnej, czyli – jak określiło w tytule – „Opowiedz mi swoją historię, a powiem ci, kim jesteś”. Marcin przybliżył słuchaczom teorię, zgodnie z którą poprzez opowiadane historie poszukujemy siebie, zarówno gdy w dziecięcych zabawach wybieramy rolę potwora lub królowej, jak też gdy już jako dorośli informujemy o tym, co lubimy robić lub czytać. Właśnie, czytać. Gdy niedługo później łądowałam do torby i wlokłam do pociągu zdającą się ważyć tonę stertę książek, zastanawiałam się, co też powiedziałby Marcin Przybyłek na ten mój wybór lektur. Kim w ich świetle jestem? Teraz na pewno jestem bardzo zmęczoną i jeszcze bardziej wdzięczną uczestniczką XVI Festiwalu Fantastyki w Nidzicy. I na pewno nie jestem już festiwalowym żółtodziobem!

Tekst i zdjęcia: *Gata*

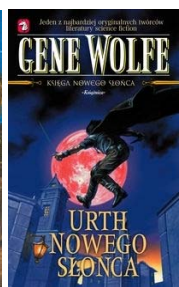
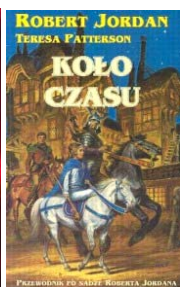
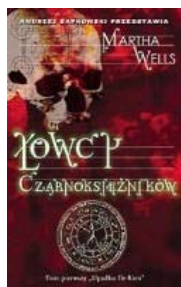


# NABYTKI BIBLIOTEKI GKF

zakup uzupełniający książek utraconych  
(zniszczonych, zagubionych i skradzionych\*)

maj 2009 r.

Anthony Piers	Demony nie drzemią
Cook Glen	Gorzkie złote serca
Donaldson Stephen R.	Zraniona Kraina
Feist Raymond E.	Mrok w Sethanon
Feist Raymond E.	Księżę krwi
Gemmel David	Król poza bramą
Goodkind Terry	Dług wdzięczności
Henry Lion Oldi	Magia przeciw prawu. Magioso
Horwood William	W stronę Duncton (II)
Jones J. V.	Pan i głupiec
Jordan Robert	Wielkie polowanie
Jordan Robert	Smok odrodzony
Jordan Robert, Patterson Teresa	Koło Czasu. Przewodnik po sadze
Knaak Richard A.	Minotaur Kaz
Lackey Mercedes	Zwiastun burzy
Martha Wells	Łowcy czarnoksiężników
McCaffrey Anne	Smoczy śpiewak
Parkinson Dan	Wrota Thorbardinu
Pratchett Terry	Złodziej czasu
Reynolds Alastair	Przestrzeń Objawienia
Rowley Christopher	Smok na krańcu świata
Rowley Christopher	Czarodziej i latające miasto
Salvatore R. A.	Dziedzictwo
Salvatore R. A.	Bezwieżdna noc
Salvatore R. A.	Mroczne oblężenie
Salvatore R. A.	Mroki puszczy
Salvatore R. A.	Tysiąc orków
Simmons Dan	Olimp t1
Weis Margaret	Kuźnia dusz
Weis Margaret, Hickman Tracy	Magia Krynnu
Wolfe Gene	Miecz liktora
Wolfe Gene	Urth Nowego Słońca



\* tak nazywamy książki, z których nie rozliczyli się byli członkowie GKF

# NIUSY

## NOMINACJE – ZAJDEL 2008

W dniu 25 czerwca 2009 odbyło się w warszawskim klubie Paradox Cafe ogłoszenie nominacji do Nagrody im. Janusza Zajdla. Przedstawiamy wyniki tych nominacji:

### Powieść:

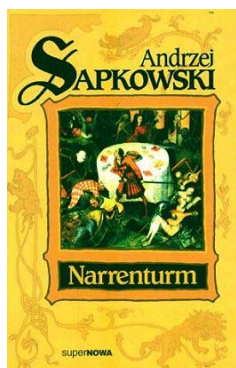
- Ewa Białołęcka, *Wiedźma.com.pl* (Fabryka Słów)
- Anna Brzezińska, *Ziemia niczyja* (w: *Na ziemi niczyjej*, Runa)
- Stefan Darda, *Dom na wyrębach* (Videograf II)
- Rafał Kosik, *Kameleon* (Powergraph)
- Magdalena Kozak, *N.I.K.T.* (Fabryka Słów)
- Krzysztof Piskorski, *Zadra*, tom I (Runa)

### Opowiadanie:

- Jacek Dukaj, *Kto napisał Stanisława Lema?* (*Doskonała próżnia*, Agora)
- Anna Kańtoch, *Światy Dantego* (*Epidemie i zarazy*, Fabryka Słów)
- Magdalena Kozak, *Sznurki przeznaczenia* (SFFH 30)
- Andrzej Mischczak, *Harpunnicy* (*Nowe idzie*, Powergraph)
- Wit Szostak, *Podworec* (NF 2/2008)



Redakcja



## AS WŚRÓD AUDIOBOOKÓW

Radiowa Agencja Fonograficzna oraz audioteka.pl rozpoczęły największą jak dotąd produkcję audiobooka na polskim rynku. Blisko dwustu aktorów bierze udział w nagraniach *Narrenturm* Andrzeja Sapkowskiego. Audiobook wzbogacony będzie wyjątkowymi efektami dźwiękowymi, specjalnie skomponowaną muzyką oraz pieśniami stworzonymi na potrzeby tej produkcji. Produkcja *Narrenturm* (pierwszej części Trylogii Husyckiej) jest realizowana w Teatrze Polskiego Radia – jedynej w Polsce instytucji dysponującej warunkami technicznymi i zespołem posiadającym niezbędną wiedzę, by podołać tak wielkiemu przedsięwzięciu.

wg: [www.gildia.pl](http://www.gildia.pl)

## SFINKSY 2008 ROZDANE

Podczas XVI Międzynarodowego Festiwalu Fantastyki w Nidzicy została po raz piętnasty wręczona nagroda Sfinksa, będąca wynikiem plebiscytu czytelniczego przeprowadzonego przez Fundację Solaris. Przedstawiamy zwycięzców poszczególnych kategoriach: Marina i Siergiej Diaczenko *Ostatni Don Kichot* (opowiadanie zagraniczne), Maria Lidia Kossakowska *Beznogi tancerz* (opowiadanie polskie), Peter Watts *Ślepowidzenie* (zagraniczna książka roku), Rafał Kosik *Kameleon* (polska książka roku), Cormac McCarthy *Droga* (książka roku). Pełna lista kandydatów oraz głosów: <http://www.literatura.gildia.pl/news/2009/06/sfinsky-2009-rozdane>

wg: [www.gildia.pl](http://www.gildia.pl)

## **KINO** URATOWANE?

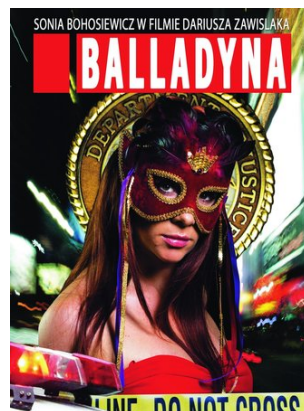
Zarząd Główny Stowarzyszenia Filmowców Polskich podjął decyzję o przyznaniu 100 tys. zł Fundacji „Kino” – wydawcy miesięcznika „Kino”. Kwota ta pozwoli na normalne funkcjonowanie redakcji do końca bieżącego roku.

wg: [www.gildia.pl](http://www.gildia.pl)

## FILMOWO-KOMIKSOWA BALLADYNA

4 września na ekranach polskich kin pojawi się film Dariusza Zawisłaka *Balladyna*. Premierze towarzyszyć będzie komiks przygotowany przez reżysera. Jest to uwspółcześiona wersja dramatu Juliusza Słowackiego. Tytułową rolę reżyser powierzył Soni Bohosiewicz, partnerują jej zaś: Mirosław Baka, Rafał Cieszyński, Stefan Friedmann, Władysław Kowalski i, gościnnie, Faye Dunaway.

wg: [www.gildia.pl](http://www.gildia.pl)



## ROŚNIE SPRZEDAŻ FILMÓW NA BLU-RAY

Według raportu Digital Entertainment Group – sprzedaż płyt formacie Blu-ray w tym półroczu wzrosła w Stanach o 91 procent. Suma dochodów ze sprzedaży niebieskich krążków osiągnęła już 407 milionów dolarów. Brak podobnych danych z Europy (gdzie ten wzrost może być jeszcze wyższy!).

wg: [www.gildia.pl](http://www.gildia.pl)

## JEDNAK POWSTANIE KONTYNUACJA

Zaawansowane są już przygotowania do czwartej części *Piratów z Karaibów*. Według złożonych już deklaracji – ma to być początek drugiej, wyraźnie bardziej kameralnej trylogii; ale oczywiście również z udziałem Johnny’ego Deppa.

jpp



## BFK-GDAK 2009

W dniach 26-29 czerwca 2009 r. odbył się w Gdańsku, głównie w WiMBP, kolejny (i, zdaniem uczestników, szalenie udany) Bałtycki Festiwal Komiksu. Poniżej link na program: [www.komiks.gildia.pl/news/2009/06/program-baltyckiego-festiwalu-komiksu-gdak-2009](http://www.komiks.gildia.pl/news/2009/06/program-baltyckiego-festiwalu-komiksu-gdak-2009)

wg: [www.gildia.pl](http://www.gildia.pl)

## REALNY KONIEC PIŁOWANIA?

Ósma część horrorowego cyklu *Piła* najprawdopodobniej doczeka się finału jesienią 2011 roku. Na razie jednak pewne jest tylko to, że *Piła VI* pojawi się w kinach przed tegorocznym Halloween; ruszają też prace nad – planowaną na rok później – *Piłą VII*.

jpp

## NIE TYLKO DLA FANÓW DICKA

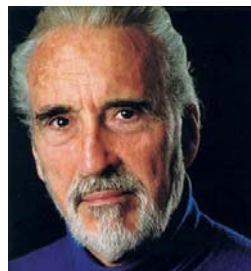
W serii „z salamandrą” ukazała się, niepublikowana dotąd w Polsce, powieść Philipa K. Dicka *Humpty-Dumpty w Oakland*. Wydawca: Rebis, tłumaczenie: Jarosław Rybski.

wg: [www.gildia.pl](http://www.gildia.pl)

## SIR CHRISTOPHER LEE

87-letni aktor – młodszym widzom znany jako Saruman i hrabia Dooku, zaś starszym jako jedno z licznych wcieleń Draculi i monstrum Frankensteina – otrzymał z rąk królowej Elżbiety II tytuł szlachecki.

jpp



## NOWA STRONA ŻUŁAWSKIEGO



Nagroda Literacka im. Jerzego Żuławskiego doczekała się nowej, już całkiem oficjalnej i profesjonalnej, strony internetowej <http://zulawski.nast.pl> (poprzednia strona nagrody nadal będzie funkcjonowała – jako „promotorska strona informacyjna”).

wg: [www.gildia.pl](http://www.gildia.pl)

## SZYKUJE SIĘ MALOWNICZA EKRYNIZACJA



Pojawiły się już pierwsze wizualne zapowiedzi realizowanej przez Tima Burtona adaptacji *Alicji w Krainie Czarów*. Film, w którym tytułową rolę gra Mia Wasikowska, pojawić ma się w kinach wiosną 2010 roku. W obsadzie znaleźli się także Johnny Depp jako Szalony Kapelusznik, Anne Hathaway jako Biała Królowa, Michael Sheen jako Biały Królik i Helena Bonham Carter jako Czerwona Królowa.

wg: [www.gildia.pl](http://www.gildia.pl)

## KOSMICZNY KOP DLA PAKERÓW?

Amerykańscy astronauta od lat używają napojów izotonicznych najlepszej jakości. NASA zdecydowała, że wypuści swój produkt na rynek spożywczy. Podobno skład napoju ma się różnić od oryginału używanego w podróży kosmicznych tylko i wyłącznie zastosowaniem słodzików – by poprawić smak w odczuciu zwykłych konsumentów. Co jest wyjątkowego w napoju dla astronautów i różni go od różnych popularnych energetyzatorów? Ma on postać gęstego płynu, który rozcieńcza się z wodą. Nie zawiera też cukrów i węglowodanów, które przeszkadzają we wchłanianiu elektrolitów. Jest także o wiele wydajniejszy od swoich konkurentów, ponieważ jego dotychczasowi użytkownicy byli narażeni na olbrzymi wysiłek. Póki co – produkt będzie dostępny dla sportowców, którzy zmagają się z największymi obciążeniami; dopiero po jakimś czasie trafi na półki sklepów.

wg: [www.gildia.pl](http://www.gildia.pl)

## KONIEC ERY KOLUMBA?

Naukowcy z NASA oraz japońskich agencji rządowych przedstawili najnowszą wersję cyfrowej mapy naszego globu – obejmującą aż 99% jego powierzchni. Zdjęcia zostały wykonane z satelity Terra.

wg: [www.gildia.pl](http://www.gildia.pl)

## FANOWSKA LATARKA



Dla fanów Gwiezdných Wojen przygotowano fantastyczny gadżet: latarkę w kształcie miecza świetlnego. Urządzenie jest wyposażone w cztery czerwone diody LED. Moc (elektryczna!) pobierana jest z trzech baterii AAA. Ta latarka nie nadaje się do walki, ale gdy przetniemy nią powietrze z dużą prędkością – usłyszymy dźwięk imitujący miecze świetlne z filmów.

wg: [www.gildia.pl](http://www.gildia.pl)

## TRÓJWYMIAROWY KING KONG

Spirit Pictures nabyło prawa do ekranizacji, wydanej w roku 2005, powieści *Kong: King of Skull Island* – będącej prequelem doskonale znanej historii o King Kongu. Powieść Joe DeVito i Brada Stricklanda opowiada o życiu tytułowej małpy na Wyspie Czaszek. Zapowiadany film miałby powstać z użyciem technologii motion-capture (znanej z filmów *Express Polarny* i *Beowulf*).

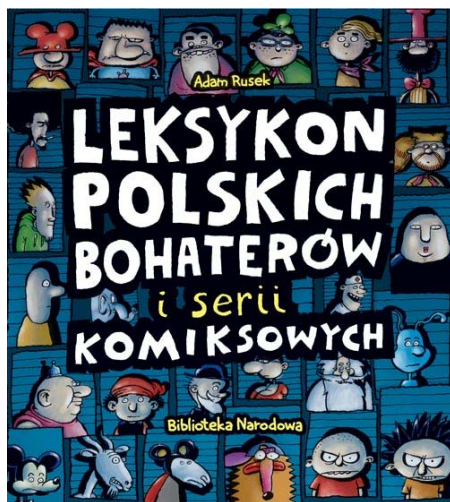
wg: [www.gildia.pl](http://www.gildia.pl)

## POMÓŻMY POSZERZYĆ LEKSYKON

W związku z planowanym drugim (poszerzonym) wydaniem *Leksykonu polskich bohaterów i serii komiksowych* Adama Ruska – autor oraz wydawca proszą o zgłaszanie uwag, poprawek i uzupełnień. Tym razem wydawcą będzie Centrala, której bardzo zależy na najlepszej jakości tego wydawnictwa. Uwagi można zgłaszać w terminie do 30 września br. na poniższe adresy:

[ruseka@op.pl](mailto:ruseka@op.pl) lub [centrala.pl@gmail.com](mailto:centrala.pl@gmail.com)

wg: [www.centrala.org.pl](http://www.centrala.org.pl)



## NOWA RUBRYKA NA STRONCE NASZEGO KLUBU

W internetowej stronie [www.gkf.art.pl](http://www.gkf.art.pl) pojawiła się, w zakładce poświęconej klubowym wydawnictwom, rubryka poświęcona kartografii światów SF&F. Prezentowane na niej będą unikatowe mapki wykonane przez Krzysztofa Papierkowskiego i innych rysowników – do wielu najpopularniejszych opowieści z obu tych gatunków. Podstrona jest na razie w budowie, praca ruszy z kopyta po wakacjach. Ten materiał może okazać się wirtualnym hitem GKF-u – i to nie tylko w kraju!

jpp

## PÓLKA Z DVD

## Żarty się skończyły

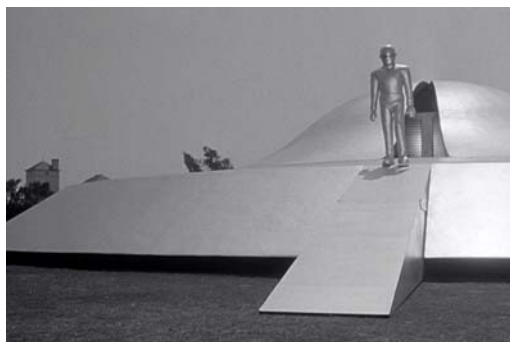


Na ten temat już tyle napisano, że można spokojnie dodać jeszcze trochę. Chodzi o remake filmu Roberta Wise *The Day the Earth Stood Still* (1951), który przez minione półwiecze zyskał status obrazu kultowego (numer 5 na liście najlepszych filmów SF i numer 67 wśród najbardziej inspirujących filmów wszechczasów Amerykańskiego Instytutu Filmowego). Nie był on nigdy wyświetlany w polskich kinach, choć parę lat temu pokazała go nasza telewizja jako *Dzień, w którym stanęła Ziemia*. Jak by nie było, film jest oceniany w Polsce niemal tak wysoko, jak w USA (FilmWeb - 7,77/10, IMDb - 8,1/10).

Jest rzeczą niezwykle sporną, czy remake takiego klasyka powinien w ogóle powstać – jednak bardziej słuszne pytanie brzmi, czy można to było zrobić lepiej niż zrobiono. Twórcy filmu najwyraźniej byli świadomi problemu zmierzenia się z legendą, co przejawiało się w postawie umiarkowanej pokory wobec pierwowzoru. Interesujące jest to, że niektórych rzeczy nie potrafili zmienić, mimo intensywnych wysiłków. W dodatkach na płycie DVD można obejrzeć na przykład całą kolekcję różnych pomysłów wyglądu robota Gorta, jeden bardziej wyrafinowany od drugiego. Po wielu miesiącach ciężkiej pracy koncepcyjnej ktoś wreszcie nieśmiało zaproponował, żeby może jednak powrócić do oryginalnego wizerunku, co wszyscy przyjęli z ulgą. W rezultacie Gort jest człekokształtny, tyle że wielokrotnie wyższy od swojego poprzednika, a jego struktura skrywa (do czasu) złowrogą niespodziankę.

Jeśli chodzi o aktorstwo, to najwięcej cięgow zebrał Keanu Reeves za rolę Klaatu, którą odegrał z kamienną twarzą. Powiedźcie mi jednak, jaką mimiką powinien posługiwać się obcy w ludzkiej skórze, aby film nie ześlizgnął się w groteskę? Dla mnie jest raczej oczywiste, że taki przybysz, w przeciwieństwie do człowieka, nie powinien odczuwać przymusu poruszania całkowicie nieużytecznymi mięśniami twarzy. Z drugiej strony łatwo zauważyć, że Keanu gra oczami, które podobno są zwierciadłem duszy, co (wbrew krytykom) dobrze świadczy o jego aktorstwie. Nie mam też zastrzeżeń do obsadzenia Johna Cleese w roli profesora Barnhardta. Jest to obecnie nobliwy starszy pan, który swoim pojawieniem na ekranie wcale nie musi od razu wywoływać salw śmiechu, co, jak sądzę, właśnie tym filmem udowodnił. Dobrze też wypadły pozostałe dwie gwiazdy: Kathy Bates (*Misery* i ponad 50 innych filmów) jako sekretarz stanu i Jennifer Connelly w roli doktor Helen Benson, a także Jaden Smith, syn Willa, występujący po raz drugi na ekranie (i pierwszy raz bez taty).

Nazwisko Bates pojawia się w kontekście filmu podejrzanie często. Oprócz Kathy mamy też Tylera (kompozytora) oraz nade wszystko Harry'ego Batesa, autora opowiadania *Farewell to the Master* (1940), będącego podstawą obu adaptacji filmowych. Nawiasem mówiąc – w no-weli chodziło nie całkiem o to samo co w filmie. Na odpowiedzialność Petera Nichollsa, autora *Encyklopedii SF*, podaję, że (swobodnie tłumacząc) w procesie adaptacji filmowej



została zagubiona ironia, ukazująca pułapki interpretowania w ludzkich terminach relacji pomiędzy ogromnym robotem i jego nieludzkim panem. Co zagubiono w remake'u – niech każdy sam zdecyduje.

W obecnej wersji filmu Klaatu przylatuje kulistym pojazdem, niebezpiecznie przypominającym (poza wielkością) ten z filmu *Kula (Sphere)* Levinsona. Nawet początek obu filmów jest podobny (nagła mobilizacja naukowców różnych specjalności). O czym to miałyby świadczyć (pomijając niedowład wyobraźni) nie ośmielę się sądzić. Film Roberta Wise natomiast był pierwszym, w którym pokazano klasyczny latający spodek. Warto tu dodać, że termin *flying saucer* został wprowadzony ledwie 4 lata wcześniej, po pierwszej obserwacji UFO dokonanej przez Kennetha Arnolda; i jest taki a nie inny bynajmniej nie z powodu kształtu pojazdu, lecz raczej charakterystycznego sposobu poruszania się „jak spodek rzucony na wodę” (co my określamy jako „puszczenie kaczek”).

I tu dochodzimy powoli do kluczowej kwestii, czyli przesłania filmu, płynącego z ust Klaatu. Otóż mówi on dokładnie to samo, co wszyscy inni załoganci latających spodków, pomiędzy jedną premierą a drugą. Z początku Obcy wyrażali zaniepokojenie próbami nuklearnymi (począwszy od relacji George'a Adamskiego z listopada 1952), a następnie (po rozpoczęciu tzw. uprowadzeń) postępującym zanieczyszczeniem środowiska naturalnego. Tak więc mamy płynne przejście od jednego filmu do drugiego, z fenomenem UFO pośrodku.

Wychodzi na to, że przy okazji tej recenzji wytłumaczyłem zagadkę dręczącą przynajmniej część ludzkości od ponad pół wieku. Otóż winowajcą jest Robert Wise! Niestety, w życiu nic nie jest takie proste. Wielu rzetelnych badaczy zmagало się z fenomenem uprowadzeń, dochodząc nieodmiennie do wniosku, że są one realnym zjawiskiem. Poświadcza to na przykład swoim autorytetem John E. Mack, znany amerykański psychiatra, który zbadał przy użyciu regresji hipnotycznej wiele przypadków uprowadzeń przez UFO. W swojej książce *Abduction - Human Encounters with Aliens* (1994) stwierdza on dodatkowo, że być może powinniśmy ponownie zdefiniować pojęcie realności. Rzecz w tym, że Obcy (kimkolwiek są) potrafią manipulować naszym sposobem postrzegania w taki sposób, żebyśmy widzieli to, co chcą, żebyśmy zobaczyli – modelując odpowiednio wygląd swój i swoich pojazdów, a także pozostając niewidzialnymi dla tych, którym nie chcą się ukazać. Być może rzecz jest w tym, że nie są oni całkiem materialni (!). Jak by nie było, początkowo relacje ze spotkań z Obcymi przypominały mocno pierwszy film: ze spodka wychodził człekokształtny osobnik, przedstawiał się jako Wenusjanin i prawił o zagrożeniach, po czym odlatywał. Potem wyszło na jaw, że Wenus nie nadaje się do zamieszkania, więc tak zwanych *Nordyków* zastąpili stopniowo mniej przyjaźni *Szarzy*, czyli klasyczne ufoludki, pochodzące podobno (według relacji uprowadzonej Betty Hill) z *Zeta Reticuli*. Jak widać, ewolucja naszych wyobrażeń pociągała za sobą zmianę charakteru kontaktów (i *vice versa*). Jedno tylko się nie zmieniało: przesłanie o zagrożeniu Ziemi i o tym, że powinniśmy się opamiętać póki jeszcze czas. Ostatnio jednak słyszymy, że już go nie mamy i zagłada Ziemi jest nieunikniona, co bardzo dobrze koresponduje z treścią drugiego filmu.

Krótko mówiąc – żarty się skończyły, a teraz ktoś będzie musiał po nas posprzątać.

Andrzej Prószyński



P.S. Już po napisaniu tego tekstu sięgnąłem ponownie do recenzji obu filmów zamieszczonej w *Informatorze 237* (styczeń 2009). Nie mam zamiaru z niczym polemizować, chcę natomiast zwrócić uwagę na skrytykowaną tam „omnipotencję” Klaatu w remake’u. Otóż w relacjach uprowadzonych przez UFO Obcy mają jeszcze większą władzę nad ludźmi i materią niż w filmie, na przykład swobodnie przenikają przez ściany. Tego jednak żaden szanujący się filmowiec nie umieściłby w swoim dziele!

Dzień, w którym zatrzymała się Ziemia (1951)

The Day the Earth Stood Still

Średnia ocena: Bardzo dobry

(FilmWeb 7,77/10, IMDb 8,1/10)

Produkcja: USA

Data premiery: 18.09.51 (Świat)

Reżyseria: Robert Wise

Scenariusz: Edmund H. North

Zdjęcia: Leo Tover

Muzyka: Bernard Herrmann (Złoty Glob – nominacja)

Obsada:

Michael Rennie – Klaatu

Patricia Neal – Helen Benson

Billy Gray – Billy Benson

Sam Jaffe – profesor Barnhardt

Czas trwania: 92 min.



Dzień, w którym zatrzymała się Ziemia (2008)

The Day the Earth Stood Still

Średnia ocena: OK

(FilmWeb 5,44/, IMDb 5,6/10)

Produkcja: USA

Data premiery: 12.12.08 (Świat), 16.01.09 (Polska)

Reżyseria: Scott Derrickson

Scenariusz: David Scarpa

Zdjęcia: David Tattersall

Muzyka: Tyler Bates

Obsada:

Keanu Reeves – Klaatu

Jennifer Connelly – Helen Benson

Jaden Smith – Jacob Benson

John Cleese – profesor Barnhardt

Kathy Bates – sekretarz stanu

Czas trwania: 99 min.

John E. Mack, *Uprowadzeni – Bliskie spotkania IV stopnia*, Amber, 1996  
(*Abduction – Human Encounters with Aliens*, 1994)





# ELEKTRONICZNY MORDERCA – OCALENIE

**Tytuł:** Terminator Salvation

**Produkcja:** USA, 2009

**Gatunek:** Robocie P/A

**Dyrekcja:** McG

**Za udział wzięli:** Arnold, Bruce Wayne, Sam Worthington, ładna Indianka, Helena Bonham Carter, Chekov, Common, Mr. Rasczak, Gwen Stacy w ciąży, OMC Pudzian

**O co chodzi:** John Connor walczy z robotami wyjątkowo ze swoich czasów.

**Jakie to jest:** Zawsze powtarzam, że do oceny filmu liczy się pierwsze wrażenie zaraz po wyjściu z kina. Opinii typu „film jest lepszy przy drugim obejrzeniu” albo „po namyśle” nie bierze się pod uwagę. Dlatego też od razu na wstępie mówię, że *Terminator Salvation* w kinie mnie nie poraził. Aczkolwiek jest po prostu fajny. W swojej klasie.

Nikt poważny nie uważa serii *Terminator* za specjalnie głęboką. Pojawiają się w niej co prawda takie potencjalnie ważne motywy jak determinacja, predeterminacja, (a zwłaszcza terminacja), czy przede wszystkim kucie własnego losu. Tym niemniej nie mamy tu serwowanych specjalnych dywagacji filozoficznych – motywy te są tylko siłą napędową skocznej akcji, dzięki czemu możemy filmy zaliczyć do dobrych/genialnych.

Dla wszystkich chyba powierzenie reżyserii *T4* panu McG było decyzją co najmniej kuriozalną, a z drugiej strony każdy był chyba ciekaw, czy aby nie wyjdzie z tego coś dobrego. Z jego filmografii obejrzałem oczywiście jedynie *Aniolki Charliego* sztuk dwie. „poważne” pomysły typu *We Are Marshall* sobie odpuściłem, więc nie miałem dotąd specjalnej opinii co do jego zdolności nakręcenia filmu z prawdziwymi postaciami. I najwyraźniej McG musi jeszcze nad tym elementem popracować.

Reżyser uznał, że i do swojej strzelaninki doszyje tzw. głębszy motyw, czyli w tym wypadku dickowskie „co tworzy człowieka”. Głównym bohaterem filmu jest bowiem, wbrew pozorom, nie John Connor (no, powiedzmy, że są równorzędni), a znany wszystkim Marcus, który chce dobrze – ale pech chce, że jest robotem. Marcus pojawia się nagle w roku 2018 i mocno deprymuje Connora, który nie wie, co z nim począć. Przybysz spełnia w filmie rolę dobrego robota, która w końcu występuje w większości z *Terminatorów* – dla odmiany jednak nie mając jednego walczącego z nim przeciwnika.



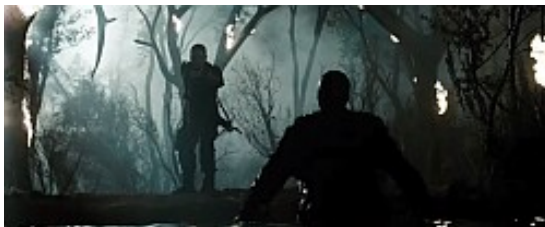
Przy okazji każdego nowego odcinka *Terminatora* wszyscy zawsze płakali, żeby było więcej Future War. Te postulaty po dekadach zostały wysłuchane, gdyż w *T4* nie mamy właściwie nic innego. Ludzie tłuką roboty na wielką skalę: robią naloty A-10, desanty helikopterowe, pływają sobie łodzią podwodną. Nie są to zaszczute grupki obszarpańców z filmów Camerona – kryjące się w mroku ruin. Tutaj mamy nowoczesne wojsko uzbrojone niczym Delta Force z *BHD*, spacerujące sobie bez stresu po pustyni i mieszkające na luzie w normalnych bazach, z całkiem jawnymi lotniskami czy np. normalnymi służbami medycznymi i centrami komputerowymi (sic!).

Zakładam, że piramidalny ten absurd to jakaś licentia poetica celowo przyjęta przez McG; podobnie jak pełna beztroska, z którą siły ludzi pozbywają się na kopy jeepów, samolotów czy helikopterów. Szkoda, że to żołnierskie życie wypełnia większość filmu – i tylko pierwsze oraz ostatnie pół godziny to jakaś sensowna akcja, natomiast reszta to snucie się i konwersacje po bunkrach. SkyNet zresztą dość pobłażliwie traktuje ludzi (albo dopiero zbiera siły), w każdym razie trzeba się mocno starać, aby w świecie filmu natknąć się na jakiegoś robota.



w sobie stawia pod znakiem zapytania pełnoprawność odcinka. *Salvation* to element para-kanonu na poziomie fajnego komiksu czy gierki. Komiksy czy gierki też miały ideowo guzik wspólnego z filmami, a mimo to były fajne – podobnie jest tutaj. Dzięki temu właśnie nie przeszkadzają mi transformersy, motory, a nawet debilizmy fabularne. Kto jak kto, ale McG wie, jak pokazać akcyjkę, pościgi, fajerwerki, wybuchy, a także (jak się okazuje) wybryki militarne. Przy czym nie jest to fajny cameronowski buddy-militaryzm – raczej zimne pro-twardzielstwo rodem z gierki – ale i tak jest git. McG znaczący swój teren charakterystycznym monochromatycznym visuałem i całkiem niezłe wypadającym „czarnym” designem samych Terminatorów. No i większość akcji toczy się w dzień – co jest zupełnym novum w serii; ale w sumie sprawdza się, i to dobrze.

Mimo licznych zalet – w swoich najważniejszych punktach film też potrafi nawalić. Nie wszystkie sceny akcji są sensownie wyreżyserowane; zwłaszcza te, w których występują postacie, a nie tylko roboty czy pojazdy. Czasami odnosi się wrażenie, że McG nie do końca wytłumaczył aktorom, co docelowo będzie się wokół nich działo – stąd sytuacje w stylu, że roboty atakują i strzelają na maksa, a nasi goście stoją sobie i gadają, pełny Gepard Chester. Inny problem to fakt, że mimo czad fajerwerków brak jest tu naprawdę trzymających w napięciu scen akcji – nie ma nic, co choćby zbliżyło się do scenki pościgu T-1000 w cysternie z azotem i wycieczki Arnolda na jego maskę. Wielką wadą filmu jest jego totalna popkornizacja i matriksyzacja – właśnie poprzez stworzenie SILNEGO ruchu oporu walczącego ze SkyNetem jak równy z równym, co mega wypuściło powietrze z dramatyzmu sytuacji ludzi. Ponadto, tak jak w *LotRze* zamordowano Saurona personifikując go, tak zrobiono tu ze SkyNetem – sorry, ale system gadający ludzkim głosem hollywoodzkiej laski kojarzy mi się wyłącznie z serialem *RoboCop*; nigdy nie uwierzę, że te pieczki były wymyślane pod kategorię R. No i co najważniejsze – w każdym poprzednim *Terminatorze* mieliśmy co najmniej jedną ikoniczną scenę definiującą film; nawet, kurde, w *T3* była strzelanina z trumną! Tu takiej sceny nie ma – cały film ani przez moment nie wybija się ponad wysoki poziom średni.



Jak już wspominałem – McG nie ma pojęcia o kierowaniu aktorami, więc cały ciężar kreacji postaci leżał tylko na ich barkach. Najbardziej widać to na przykładzie Connora, którego zawłaszczył całkowicie Bale, przepisując scenariusz i tworząc z niego postać ex-aequo główną z Marcusem. Bale też najbardziej przejął się rolą – i choć

aktorsko wypada świetnie jako mega zdeterminowany i nieco zgorzkniały żołnierz (bynajmniej nie przywódca ruchu oporu, co ciekawe) – to chyba jednak wziął ten film zbyt poważnie i niespecjalnie pasuje do reszty. Jego emocjonalne monologi do kamery momentami brzmią wręcz autoparodystycznie (aczkolwiek grunt, że jest konsekwentny.) Z kolei do Marcusa nie można się przyczepić – swoją niestęchłą złożoną psychologicznie postać gra na świetnym poziomie kina akcji i jest jednym z najbardziej wiarygodnych bohaterów w filmie. Potem już mamy role drugoplanowe – niezły Reese jako idealizujący acz twardy teens, Moon Bloodgood wypada fajnie w roli typowej twardej militarnej laseczki, a przy okazji wygląda lepiej niż np. Michelle Rodriguez. Common poprawnie wciela się w dyżurnego Murzyna, a Kate Connor z poświęceniem opatruje rannych. Miejsce dla każdego i każdy na swoim miejscu.

W każdym *Terminatorze* kluczową rolę odgrywa muza – tu Danny Elfman się starał, ale ewidentnie nie był to temat dla niego. Danny nie nadaje się do czystej napierdalanki, jego muza była po prostu albo zbyt słyszalna, albo niedopasowana do akcji. Pomijam tu nawet fakt, że momentami starał się naśladować industrialne



brzmienie Fiedela, co też nie było za dobrym pomysłem. Co ciekawe, właśnie sceny odgrywane bez muzy, nakręcone z ręki najbardziej przypominały styl Camerona.

Jak to często bywa w filmach, które rozpaczliwie próbują się uwiarygodnić (np. *Indiana Jones 4*), mamy sporo nawiązań do poprzednich odcinków serii. Pojawia się cała masa w pełni zamierzonych kalek z *T1* i *T2*, a nawet do nieskręconej sceny rozpoczynającej scenariusz *T2* (tu też rozpoczynającej film). Niestety, gwałtowna reżyseria zupełnie gubi feel tych scen: ani konfrontacja w fabryce, ani pościg ciężarówką nie jest nawet z grubsza tak emocjonujący jak w oryginale – skupia się wyłącznie na epie, a nie na napięciu. Reżyser bardzo się starał, aby jego film nie przypominał teledysku, ale widocznie niektóre nawyki były zbyt silne. To samo można powiedzieć o scenach w (polskich?) obozach koncentracyjnych – tak anty-emocjonalnych i luzackich scen obozowych w życiu nie widziałem.

*Terminator Salvation* to świetny film akcji, osadzony w fascynującym świecie będącym matką wszystkich P/A wojen, zdecydowanie mniej wkurzający niż taki np. *IJ4*. Będziecie się na nim świetnie bawili – ale żaden z niego *Terminator*.

### **Ocena (1-5):**

**Future War:** 5

**Duch Terminatora:** 1

**Arnold:** 5

**Fajność:** 4

**Cytat:** I'll be back.

**Ciekawostka przyrodnicza:** McG miał dość wysokie mniemanie o poziomie swojego filmu. Wszystkim w ekipie kazał czytać „Do the androids dream...” i „The Road”.

Commander John J. Adams  
/www.zakazanaplaneta.pl/

[tytuł od redakcji ZP]

## CASUS RONALDA

*Na dorocznej konferencji poświęconej naukowym metodom rozwiązywania spraw kryminalnych prezydent organizacji AAFS, dr Don Harper Mills, zadziwił słuchaczy opowieścią o najdziwniejszym przypadku, dotyczącym kwalifikacji prawnej i przyczyny śmierci, z jakim przyszło mu się spotkać.*

23 marca 1994 r. koroner badał ciało młodego chłopaka – Ronalda Opusa – i stwierdził, że bezpośrednią przyczyną zgonu była rana postrzałowa głowy.

Jednak według świadków denat skoczył z dziesiątego piętra budynku chcąc popełnić samobójstwo. Zostawił on list pożegnalny, w którym wyjaśnił przyczyny swojej decyzji, a którego autentyczność potwierdzono po dokładnym zbadaniu.

W chwili oddania skoku, gdy był na wysokości dziewiątego piętra, w jednym z mieszkań nastąpił wystrzał ze strzelby – kula przebiła szybę i trafiła Ronalda prosto w głowę, powodując jego natychmiastową śmierć.

Ani strzelający, ani Ronald nie wiedzieli, że tuż poniżej ósmego piętra zamocowana była siatka ochraniająca pracujących na wysokości robotników przed niespodziewanym upadkiem – czyli Ronaldowi nie udało się popełnić samobójstwa: siatka by go zatrzymała.

Zwyczajowo – kontynuował dr Mills – osoba, która próbuje popełnić samobójstwo, i osiąga swój efekt nawet innym sposobem niż to sobie zaplanowała, nadal jest uważana za przypadek samobójstwa. Jednak w przypadku pana Opusa mamy do czynienia z nieco inną sytuacją: został on śmiertelnie postrzelony podczas skoku z dziesiątego piętra, który normalnie zakończyłby się jego śmiercią, jednak z powodu siatki nie udało mu się popełnić samobójstwa – dlatego też koroner uznał, że w tym przypadku należy sprawę traktować jako morderstwo.

Śledztwo wykazało, że pokój na dziewiątym piętrze, z którego oddano strzał, zamieszkały był przez starsze małżeństwo, które właśnie w tym momencie się kłóciło, a mężczyzna groził żonie bronią. Był on tak zdenerwowany, że pociągnął za spust, ale nie trafił w żonę, a kula ugodziła spadającego Ronalda.

Kiedy ktoś zamierza zabić osobę A, ale zabija osobę B, jest winny morderstwa osoby B. Gdy mężczyźni postawiono zarzut zabójstwa – zarówno on jak i żona byli zszokowani. Oboje stwierdzili, że myśleli, iż broń była nie naładowana.

Mężczyzna twierdził, że ma taki nawyk, że podczas kłótni grozi żonie nie nabitą bronią, ale nigdy nie miał zamiaru jej zabić, czy zranić. Dlatego śmierć Ronalda powinna zostać uznana za wypadek – ze względu na fakt, że broń była przypadkowo naładowana.

Dalsze śledztwo ujawniło świadka, który widział, jak syn starszej pary łądował nieszczęsną broń kilka tygodni przed zdarzeniem. Okazało się, że kobieta odmówiła synowi wsparcia finansowego, gdy poprosił ją o pieniądze na usunięcie ciąży swojej 16-stoletniej dziewczyny, zaś ten, znając zwyczaj grożenia bronią przez ojca, naładował strzelbę w nadziei, że matka zostanie zastrzelona.

W takiej sytuacji sprawa znów stała się sprawą o morderstwo Ronalda Opusa.

I tu następuje najciekawsza część opowieści: w śledztwie okazało się, że synem małżeństwa był właśnie... Ronald Opus!

Ciąża dziewczyny, brak środków finansowych i nieudana próba zemsty na matce spowodowała, że chłopak zdecydował się na samobójczy skok z dachu budynku. Skok ten został przerwany strzałem w głowę ze strzelby, którą sam naładował w nadziei, że zginie jego matka.

I tak dochodzimy do ostatecznego zamknięcia sprawy – uznanej w efekcie za udaną próbę samobójstwa.

[z Internetu]

### GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

### INFORMATOR

# 243

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2

ADRES KORESPONDENCYJNY: skr. poczt. 76, 80–325 Gdańsk 37

STRONA: [www.gkf.art.pl](http://www.gkf.art.pl)

REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. nac.), Krzysztof Papierkowski, Marcin Szklarski,  
Michał Szklarski

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYNIA nr 52 1020 1853 0000 9902 0067 8359

*Nakład 300*

*WYDAWNICTWO BEZPŁATNE*

Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów  
i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji